

Śmierć matki vs Śmierć matki

- Bezmatek to rodzina pszczoła pozbawiona matki, sytuacja, w której królowa umiera. Z ula dobiegają wtedy bardzo dziwne odgłosy. Pszczoły robią się wtedy niezwykle nerwowe, wlatują, wylatują. Próbuje się jakoś „ogarnąć”.

To słowo, gdy je poznałam, zrobiło na mnie tak silne wrażenie, że aż pociągnęło w stronę napisania książki. I wiedziałam, że niezależnie od tego, czy będę w tej sprawie jakiegokolwiek naciski, czy nie, będzie tytułem - czytelnym i pociągającym.

Tłumaczyła Mira Marcinów w wywiadzie udzielonym Michałowi Nogasiowi dla GW (21.1.21) na okoliczność odebrania Paszportu Polityki. Książkę bowiem napisała, nadała jej tytuł, jaki chciała, i fala powodzenia wyniosła tytuł tak wysoko, że zrobiło się o niej głośno: najpierw Paszport Polityki, potem ten tytuł w GW z 10.6.21: Nagroda Literacka "Nike" 2021 - nominacje. Marcinów, Leszczyński, Łubieński w dwudziestce.

Książka szła jak burza, wśród dwudziestki nominowanych autorów Wyborcza wyborem Marka Radziwona nazwisko Marcinów wymienia w tytule jako pierwsze. Nie docierały do mnie odgłosy burzy, która już szła za tą pierwszą: Anna Augustyniak, autorka książki "Kochałam, kiedy odeszła" (wydanej w 2013 roku nakładem wydawnictwa Nisza) uważała, że autorka "Bezmatka" (wydanego przez wyd. Czarne w 2020 roku) dopuściła się jeśli nie wprost plagiatu, to przynajmniej nadmiernej inspiracji jej książką. Mira Marcinów zapewniała, że książki Anny Augustyniak nie czytała przed napisaniem swojej.

Tymczasem moimi faworytami do Nike byli Adam Leszczyński, autor, "Ludowej historii Polski" i Monika Śliwińska z jej "Pannami z 'Wesela'", tylko te dwie pozycje z całej listy nominowanych przeczytałam, jednak bynajmniej nie przypadkiem, a dlatego, że konweniowały mi z tematem, który od dobrych dwóch lat przerabia(ła)m.

I choć od czasu do czasu czytam coś też w tzw. okienkach pomiędzy, niektóre, bo mam, niektóre, bo chcę recenzować, staram się zbytnio nie rozpraszać i nie sięgać po książki spoza głównego nurtu aktualnych zainteresowań z bardzo prostej przyczyny, oszalałabym! W myśl filozoficznej zasady, którą całe życie głosi mój stary przyjaciel-aktor-casanowa, "wszystkich panienek nie przelecisz, wszystkich książek nie przeczytasz", i z którą się zgadzam.

Na dobitkę, im bardziej "Bezmatek" mienił się sławą, tym bardziej wiedziałam, że nie chcę go przeczytać z powodu odwrotnego do założonego, ten tytuł nie tylko mnie nie pociągał, wręcz przeciwnie, odpychał. Bowiem "bezmatek" to jestem ja z moją siostrą i bardzo nie chcę się z tym tematem mocować, niech już będzie jak jest, skoro takie jest prawo natury, ale bez rozdrapywania impulsami z zewnątrz tego faktu. Nie słyszę, nie widzę, nie gadam, dobrze jest!

Tym samym 3 grudnia 2021 znalazłam się bez przygotowania w samym środku burzy szalejącej już od jakiegoś

czasu na dobre wokół obu książek i ich autorek z coraz głośniejszymi pomrukami i wyładowaniami na fejsbuku. Jeden grzmot, drugi, trzeci i dotarło i do mnie. Musiało! Aż tak głucha nie jestem! Ajajaj!.. Grupy wsparcia i wyparcia już od dawna podzieliły się na dwa wrogie obozy, dobywając coraz ostrzejszych argumentów za i przeciw jednej i drugiej autorce, i ochoczo dolewając oliwy do ognia.

Przeczytałam, co było do przeczytania po jednej i po drugiej stronie konfliktu, a nie znając ani jednej, ani drugiej książki, ani - osobiście - ich autorek (pani AA jest wśród moich fb-znajomych, pani MM, nie, ale mogę wejść na jej profil), i już, już wycofywałam się rakiem, gdy dopadło mnie wyzwanie apelujące do mojej żyłki dochodzenia prawdy. Tym bardziej mnie dopadło, że durny slogan "prawda leży gdzieś pośrodku" doprowadza mnie do wściku i każe mówić: "sprawdzam, gdzie tak naprawdę leży prawda, bo najczęściej nie pośrodku".

Najbardziej zdumiewające - i wkurzające - było to, że wiele wypowiedzi osób wspierających czy potępiających strony konfliktu, świadczyło o tym, że osoby te nie zapoznały się z jego przedmiotem, nie przeczytały książek, lub przeczytały tylko jedną z nich, ale zdanie mają. Mają, bo mają. Bo bardziej lubią panią AA, lub panią MM. Albo bardziej nie lubią pani AA, lub pani MM. Albo, bo tak. Lub, bo nie.

Wkrótce więc przede wszystkim przeczytałam obie książki. I to nie neutralnie, "na biało", a pod kątem wykrycia ewentualnych "nieświadomych zapożyczeń", czy "świadomych ściągania" przez autorkę "Bezmatka" od autorki "Kochałam, kiedy odeszła". W ramach zgłębienia zagadnienia dodałam lekturę książki Marii Nurowskiej "Po tamtej stronie śmierci" z roku 1977, i "Rzeczy, których nie wyrzuciłem" Marcina Wicha (wyd. Karakter, 2017, Nike 2018). Przy okazji też wywiad-rzekę jaki przeprowadziła Marta Mizuro z Marią Nurowską i Tatianą Raczyńską wydane pt. "Matka i córka" (wyd. Znak, 2013).

Na książkę Romana Barthesa "Dziennik żałobny" czekam od 14 grudnia. Drukuje się z przerwami na święta i Nowy Rok. W końcu się doczekam, chcę ją przeczytać niezależnie już od tego tekstu. Książkę "Matka odchodzi" Tadeusza Różewicza (Nike 2000) czytałam razem z mamą zaraz po zdobyciu przez nią Nike - mama swój egzemplarz w Krakowie, ja swój w Zurichu, gdzie wtedy mieszkałam. Dużo o niej rozmawialiśmy czy to telefonicznie, czy bezpośrednio, ale to nic szczególnego, bo w ogóle dużo rozmawialiśmy na różne tematy, te trudne, jak śmierć, także.

I tu przechodzę do sedna sprawy, do *clue* tego tekstu: otóż mama zmarła w czerwcu 2007 roku. Dzień po swoich 76. urodzinach 6 listopada 2006 poczuła się źle, zaraz zdiagnozowano u niej raka, pół roku przeżyła z tym rakiem. Nie chciała chemioterapii. Uważała, że jest "czas życia i czas śmierci" i że przychodzi ten czas, gdy trzeba się pogodzić ze śmiercią i nie tylko pozwolić sobie na jej dopuszczenie do siebie, ale nie pozwolić bliskim na zatrzymywanie przy życiu. Przygotowywała nas, moją młodszą siostrę i mnie, do tego "przejścia", tak jak przez całe nasze wspólne życie przygotowywała nas do kolejnych i kolejnych życiowych przekroczeń.

Nie wierzyła w "przejście" do "lepszego świata", przygotowywała nas do "przejścia" w sensie dalszego życia po jej śmierci, posługując się nazwą z tytułu książki Miry Marcinów, jako ten "bezmatek". Ale nie jako biedne sierotki, bo same już byłyśmy niemłode, siostra 50, ja 53,5. Przygotowywała nas w sensie psychicznym, ale też bardzo konkretnym, pragmatycznym, uporządkowała swoje sprawy, wiedziałyśmy co, gdzie, jak... Dwa lata po jej śmierci sprzedaliśmy nasze mieszkania, połączyłyśmy nasze gospodarstwa i odtąd mieszkamy razem, siostra w Krakowie,

ja w Krakowie i w Zurichu. W Krakowie razem z naszą wymieniającą się menażerią, kotami, psami...

Obie nie mamy dzieci, ja świadomie, siostra bardziej z tego powodu, że jakoś nigdy nie czuła, że chce mieć dziecko, a że nasza mama zadbała również w odpowiednim czasie o nasze uświadomienie i zabezpieczenie nas przed niechcianymi ciążami, nie było niespodzianek. Na wnuki nie należała, podzielała nasze decyzje, nie chcemy, to nie, dość jest ludzi na świecie. Nigdy też nie żałowałyśmy, że żyjemy bezdzietnie (między nami mówiąc cieszymy się z tego, największym problemem dzisiejszego i przyszłego świata jest galopująca demografia). Jesteśmy więc teraz nie tylko "bezmatkiem", jesteśmy "pewnym bezmatkiem". To także pojęcie z dziedziny pszczelarskiej:

Pewny bezmatek - rodzina pszczoła, w której nie ma ani matki (bezmatek), ani jajeczek, czyli możliwości, że matka może zostać przez tę rodzinę wyhodowana. Z reguły poddanie matki pszczołej do ula jest jednym z trudniejszych przedsięwzięć w pasiece. W ulach, gdzie matki brakuje od dłuższego czasu, rozwijają się trutówki, które nie dopuszczają do pojawienia się nowej, prawidłowej królowej w ginącej rodzinie. Ingerencja pszczelarza i próba wymiany matki na taką, która została wybrana przez niego, często kończy się zakłuciem intruza przez pszczoły.

Ale też właśnie dlatego, że stanowimy taką "dziwną", ginącą komórkę społeczną, nie chciałam nigdy na ten temat pisać, wyjaśniać, tłumaczyć się. Gdy mama umarła, jak na autopilocie robiłyśmy wszystko, co należy, skreślając punkt po punkcie z list, które sobie spisałyśmy, rodzina chciała pogrzeb kościelny, był więc kościelny - zresztą nie mamy nic przeciwko temu, szanujemy odwieczne rytuały. Na drugi dzień po śmierci mamy poszłam na Szewską do krakowskiej redakcji Gazety Wyborczej i zaproponowałam tekst-wspomnienie o naszej mamie, propozycję przyjęto.

Pięć lat wcześniej pracowałam przez kilka miesięcy w krakowskiej Gazecie, będąc na szwajcarskim sfinansowaniu tego celu. Pamiętano mnie, nie było problemu, uwzględniono nawet prośbę, żeby tekst ukazał się w dzień pogrzebu, bo niektórzy żałobnicy spoza Krakowa obrócą na pogrzeb tylko w ten jeden dzień, więc żeby mogli sobie kupić zwyczajnie w kiosku. Jak ja ten tekst napisałam, nie pamiętam, działałam, jak na środkach odurzających, choć niczego nie brałam, ale tekst jest, na całą stronę Gazety, można go i dziś na jej stronie przeczytać.

Po czym wróciłam na pewną wysepkę pod Sztokholmem, gdzie wtedy mieszkałam, i właśnie wtedy dopadł mnie tak ciężki smutek i żal, że aż się zginałam, jakby mnie coś fizycznie bolało. Chodziłam nad morze na spacer z dwoma psami, moim i mojego wtedysiejszego ukochanego i cierpiałam. Myślę, że organizm w pierwszym szoku wyrzuca jakieś hormony znieczulające, dlatego mało pamiętam z tego czasu zaraz po śmierci mamy. Potem znieczulenie puściło i przygniotła mnie świadomość, że mamy już nie ma i nigdy nie będzie. Trudno mi się było z tym pogodzić. Zawsze była i zawsze się skończyło. Paradoks, absurd, niedorzeczność.

A był to lipiec, środek lata, jasno, gorąco, w krainie bujnych lasów i dzikiej szwedzkiej przyrody, "tam, gdzie rosną poziomki", życie wręcz buchało ze wszystkich stron. Psy się radośnie w morzu pluskały, w lasach usiłowały polować na sarny (na co im nie pozwalałam), mój ukochany kochał mnie a ja jego, siostra została ze swoją żalobą, ale nie sama, rodzina i liczne koleżanki mamy ją wspierały, a mamy jak nie ma, tak nie ma... Horror jakiś... Gra w szachy z Panem Śmiercią. Nie od wygrania.

Poruszałam się w filmie Bergmana "Siódma pieczęć". XIV wiek, zaraza. Reżyser 14 lipca skończył 89 lat. 30 lipca 2007 zmarł, w tym samym dniu zmarł Antonioni, 29 września skończyłby 95 lat. Nie skończył. O obydwu natychmiast pisałam teksty pożegnalne. O Bergmanie ukazał się 31 lipca. O Antonionim 10 sierpnia na racjonalista.pl, z którym wtedy współpracowałam. Ludzie umierają. Na miesiąc przed śmiercią mamy pisałam o prawie do śmieci na życzenie. Tekst otwierało motto: "*Są sytuacje, kiedy śmierć może być większym dobrem niż życie*". Mama знаła moje teksty, dzieliła moje poglądy, a raczej to ja dzieliłam jej poglądy, zawsze była na czasie i myślała nieszablonowo. A teraz jej nie ma. Jak ktoś tak bardzo obecny może tak nagle zniknąć?

Przywiozłam sobie wtedy z Polski książkę Agaty Tuszyńskiej "Ćwiczenia z utraty" i czytałam ją. Napisałam potem recenzję pt. "Ćwiczenia z cierpienia".

Pisałam: *Jest to historia choroby towarzysza życia autorki Henryka Dasko zaczynająca się od maila z środy (popielcowej), 23 marca 2005 roku: "Jestem w szpitalu. Podejrzewają guza mózgu...", a kończąca się słowami: "Umarliśmy 16 września 2006 o 16.32". Ze wstępu dowiadujemy się, że chodzi o raka mózgu o nazwie "glioblastoma multiforme", i że jest to "najbardziej drapieżny z istniejących nowotworów mózgu", z epilogu: "mieliśmy dużo czasu na pożegnanie".*

A przy końcu tekstu prywatnie: *mama zmarła na raka, nasz "czas pożegnania" zamknął się w datach 6 listopada 2006 - 25 czerwca 2007 godzina 17.57.*

I gdzieś w środku: *Zgadzam się z Agatą Tuszyńską, że każdy człowiek umiera inaczej, że nie ma czegoś takiego, jak "kanon śmierci".*

Nigdy nie chciałam pisać o śmierci naszej, mojej mamy (nigdy jej też nie nazywałam inaczej, niż mama, ani matka, ani mamusia, ani żadna inna mamunia). Nie dlatego, że nie umiałabym, ale dlatego, że o doświadczeniach intymnych nie pisuję, są intymne i są moje. Trzymam je zatrzaśnięte w sobie jak trzyma się drogie kamienie - w sejfie z kodem tylko mnie znanym. Nie działa się zresztą nic drastycznego. I nie mam nic przeciwko temu, że ktoś pisze, w końcu mogę nie czytać. I właśnie dlatego nie chciałam czytać "Bezmatka". Zbyt głęboko musiałabym go wpuścić w siebie, dotknąć tego, co chcę mieć nienaruszone, nie szukać podobieństw i nie widzieć różnic. I jedno, i drugie by mnie irytowało.

Tak to jest - przynajmniej ja to tak odczuwam - gdy temat jest zbyt osobisty, nie chcę go nikomu, a już na pewno nie wszem i wobec, zawierzać. Nie chcę też, by ktoś mi się zwierzał ze swoich z natury rzeczy intymnych spraw. Przeżycie to nie są słowa. Ból głowy to nie jest ból głowy, to są słowa na zakomunikowanie o bólu głowy. Wizerunek to nie jest osoba. Rysunek przedmiotu, to nie jest przedmiot. Malarz René Magritte pod swoim obrazem fajki napisał: "*Ceci n'est pas une pipe*", "*To nie jest fajka*".

Oczywiście sztuka - obrazu czy opisu - jest od tego, by podejmować próby przełożenia rzeczy/przeżycia na abstrakcję, jaką jest nawet najwierniejszy obraz czy opis. Filozof Michel Foucault w eseju "To nie jest fajka" rozważa, jaka jest przystawalność słów do rzeczy, a także słów do przeżyć. Jakaś jest, inaczej nie byłoby sztuki.

Jednak jest to i trudność, i jeżą się w niej pułapki. Gdy czytam, a czytam właśnie w najnowszej Polityce (3/22) recenzję Justyny Sobolewskiej opowieści Doroty Masłowskiej "Bowie w Warszawie", i w niej cytat z książki, opis przeżyć bardzo intymnych między kobietą i kobietą, to widzę, mimo niewątpliwej sprawności językowej autorki "Wojny polsko-ruskiej...", głównie trudności.

Ale nawet gdy przeżycie nie jest aż tak osobiste, jak choroba i śmierć matek, ani tak intymne, jak seks, to nawet bliskość całkiem zwyczajnych przeżyć może budzić sprzeciw. Mam takie spostrzeżenia, zarejestrowałam bowiem, że jeśli ktoś opisuje coś, co na własnej skórze przeżyłam, to może budzić we mnie irytację, a nawet bunt. Tak jest na przykład, gdy czytam relacje z wypraw żeglarskich, spędziłam pod żaglami wiele czasu, gdy ktoś "po swojemu" opisuje takie podróże, to w jakiś sposób mi się "naraża", jeśli opisuje zbyt podobnie ("jak to? przecież to moje własne przeżycie!") i jeśli opisuje zbyt różnie ("jak to? przecież to jest zupełnie inaczej! co on pieprzy?!).

Podaję ten przykład o żeglowaniu i opisach żeglowania, bo wyobrażam sobie, że posądzenie o "nadmierną inspirację" książki MM książką AA może wynikać właśnie z takiego fenomenu, obrony psychiki przed zbyt bliskim nałożeniem się na siebie bardzo osobistych głęboko emocjonalnych przeżyć o tym samym, niejako powszechnym, mianowniku: choroba i śmierć matki, i opisy tych doświadczeń. Że kryje się za tym pewien mechanizm obronny. Autorka AA może się czuć naprawdę dotknięta, choć nie ma w obu książkach aż takich podobieństw, żeby można było mówić o zrzynaniu. Autorka MM może się czuć głęboko dotknięta, bo została publicznie posądzona o - w jakimś sensie - kradzież, której się nie dopuściła.

Do tego dochodzi ta sprawa z wydaniem książki AA w wydawnictwie Czarne. W 2012 roku Anna Augustyniak wysłała swój manuskrypt do wydawnictwa. Ponieważ nie było odpowiedzi, przypomniała się (dość nieśmiały) mailem. Odpowiedź samą mnie zaskoczyła, nie dlatego, że była odmowna, ale że była mało dyplomatyczna: "Pani Anno. Niezbyt nam się podobało, mówię szczerze (...)". Podpisano: Monika [Sznajderman]. Najpierw to nieznośne *pluralis maiestatis*, a właściwie to "pluralis wymigiwatis", a do tego negatywna ocena. Nic dziwnego, że podziała, jak cios w splot słoneczny. Autor ma nerwy na wierzchu. Jest jak odbezpieczony granat, może wybuchnąć w rękach. Pani Moniko, jako nie tylko Wydawco, ale też Autorko i Żono Pisarza... i nie pamiętać o tym? Na zewnętrzne (moje znaczy) oko, odbiera się to jak spuszczenie po brzytwie.

No, a kilka lat później ten sam temat święci triumfy i na dobitkę nazywa się pierwszym? Jasne, że to boli. Pani Mira Marcinów z pewnością ma dość empatii, żeby to przepuścić przez siebie i poczuć od środka, współ-odczuć. No, a potem już zadziała samonakręcająca się spirala skutecznie podkreśkana przez chóry komentatorów na fejsie. I robi się grecka tragedia.

Przeczytałam obie książki naprawdę uczciwie, z ołówkiem w ręku. Moja opinia jest taka: są tak dobre, jak są różne (przepraszam za ten symetryzm, ale napisałam ten tekst nie po to, żeby wystawić oceny). Temat podobny, treść zbliżona, styl inny. "Kochałam, kiedy odeszła" jest bardziej osobista, refleksyjna, choć momentami z bezsilności wobec śmiertelnej choroby agresywna. "Bezmatek" jest bardziej ekspresywna i chwilami w ferworze walki z chorobą i nieuchronnością śmierci matki bardziej wojowniczo-agresywna, MM sama mówi, że to kreacja autobiograficzna, a nie rozprawa autobiograficzna. U MM dostrzegłam też pewną zasadniczą inność, córka w "Bezmatku" przejmuje pozycję matki. W psychologii nazywa się to parentyfikacją. Stąd u córki po śmierci matki rozpacz, jak po stracie dziecka, bezgraniczna. To zupełnie inna strata, bo to nie jest naturalna kolej rzeczy. To jest wbrew naturze. Żałoba obu autorek jest z tego powodu zgoła inna. Rozumie się, na moje odczucie.

